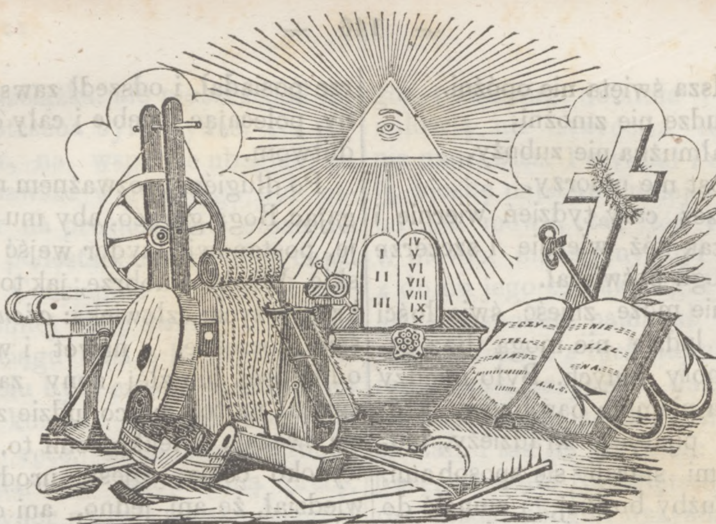
№ 19.

Warszawa.

Dnia 29 Kwietnia (11 Maja) 1856.

Niedziela ZESŁANIE DUCHA S.



KANTOR GŁÓWNY W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże! któryś serca wiernych dnia dzisiejszego, przez oświecenie Ducha ś. nauczyć raczył, daj nam w tymże Duchu poznanie rzeczy świętych, i z tego łaskawego Pocieszyciela zawsze się weselić. (Modlitwa kościelna na niedzielę 7 po Wielkiéj nocy).

Życie św. Izydora oracza.

W dalekiéj, w bardzo dalekiéj od naszéj Polski, krainie, którą Hiszpaniją nazywają, żył, będzie temu lat już siedmset, Izydor, wieśniak, którego żywot, z powodu jego uroczystości w przeszłą sobotę, t. j. dnia 10 maja, chcemy wam tu w krótkości, bracia wieśniacy, przedstawić za przykład, żebyście to dobrze poznali i zrozumieli, iż aby być szczęśliwym i tu na ziemi, i szczęśliwym na wieki w niebie, nie potrzeba koniecznie być bogatym, uczonym, ale koniecznie potrzeba być uczciwym, pobożnym, trzeźwym, pracowitym, nikomu krzywdy nie wyrządzać, nikomu szkody nie czynić, jednem słowem, kochać Pana Boga z całego serca swego, z całéj duszy swojéj, ze wszystkich sił swoich, a bliźniego swego, jak siebie samego.

Izydor w ubogiéj, wiejskiéj urodził się chacie, z ubogich rodziców, — lecz nie, nie z ubogich, ale z bogatych, bo bogobojnych i w łasce boskiéj żyjących. Zaledwie Izydor mówić począł, już umiał uczynić znak krzyża świętego i paciorek swój rano i wieczór codziennie nabożnie odmawiał, dziękując Bogu za odebrane dobrodziejstwa, prosząc i żebrząc o nowe. Żadnéj sprawy nie rozpoczynał nigdy, nie wezwawszy pomocy Boskiéj, i Bóg mu błogosławił.

Wszyscy w całéj wiosce i starzy i młodzi kochali dobrego, młodego Izydora,— bo kogo Bóg kocha, i kto Boga kocha, tego i ludzie kochają.

Czując w sobie siły do pracy, chciał Izydor onych pożytecznie użyć: a że zagroda rodziny jego nie potrzebowała jego pomocy, nie chcąc jeść chleba darmo, poszedł w służbę do jednego bogatego mieszczanina, imieniem Jana Wergas, który go użył do nadzoru i uprawiania rozległych pól i ról, jakie posiadał w pobliżu miasta. Izydor wiernie panu swemu służył, pańską rolę uważał za własną, uprawiał ją jak najlepiéj, bojąc się, aby przez niedbalstwo swoje i opieszałość nie uczynić panu krzywdy, choćby najmniejszéj. Nie tak on pracował, jak to u nas niektórzy pracują, niedbale i pomału, i to, coby w jednéj godzinie uczynić mogli, to zaledwie w kilku godzinach robią; pamiętał również dobrze Izydor na tę prawdę, o któréj mówi stare

nasze przysłowie: Msza święta nie opóźni.
Cudze nie zmnożni,
Jałmużna nie zuboży,
Post nie umorzy.

I jako Izydor przez cały tydzień wiernie i szczerze pracował, tak też wiernie i szczerze niedzielę na cześć Bogu poświęcał.

Lecz jako sowa nie może znieść światłości słońca, tak też i źli ludzie nie mogą bez zazdrości patrzeć na cnoty innych. Było między towarzyszami Izydora niemało parobków, którzy oddani rozpuście, pijatyce, kradzieży, bluźnierstwom, wszelkiemi starali się sposobami, aby odwieść go od służby boskiéj, i zmusić do tego, iżby z nimi przestawał. Lecz wszystkie ich usiłowania były bezskuteczne. Izydor nie dał się uwieść, wiedział, że te namowy są jako ten lep, co ptasznik zastawia, aby głupią ułowić ptaszynę; jako ten żer na wędce, co rybak w puszcza do wody, aby schwycić niebaczną rybkę. Towarzysze więc Izydora chcąc się pomścić na nim, oskarżyli go przed panem jego, mówiąc, że Izydor w kościele tylko czas nadaremnie traci, robotę zaniedbuje, co wszystko niemałą szkodę panu przynosi. Ale Bóg przybył sam w obronę słudze swemu, i wstydem pokrył złośliwe oskarżenia.

Rozgniewany pan Izydora, posłyszawszy takie zaskarżenia, chciał się sam przekonać, czy te skargi i obwinienia są prawdziwe, czy Izydor zaniedbuje robotę, późniéj od innych w pole się udając. Jednego więc poranku, gdy Izydor, jak zwykle przed rozpoczęciem roboty, udał się na słuchanie Mszy świętéj, przybywa pan Wergas, aby się przekonać naocznie, ile Izydor, a ile inni od rana zagonów zorali. Widzi zdaleka, na łanie Izydorowi do uprawy przeznaczonym, dwa pługi, które spieszno i dobrze orały. Sądził zrazu, że Izydor przeczuwając jego przybycie, te dwa pługi najął, lub wyprosił dla siebie, aby wynagrodzić spóźnioną robotę; lecz gdy Izydor do swego pługa, wracając z kościoła, przybył, owe dwa pługi znikły w oczach pana Wergas. Zdziwiony pyta Izydora: czyje te dwa pługi i woły były? a Izydor tém zapytaniem niemniéj zdziwiony, w całéj szczerości i pokorze serca odpowiada: Ja o niczem nic nie wiem, nikogo do pomocy nie używałem, tylko jedynie Boga mego; On raczył pobłogosławić pracy mojéj dniowéj, taką cudowną zsyłając mi pomoc. — Wergas poznał, jaki skarb w Izydorze posiadał, i odszedł zawstydzony i uradowany, polecając i siebie i cały dom swój jego modlitwom.

Po długiém i rozważném namyśleniu się, błagając Boga gorąco, aby mu objawił wolę swoję, postanowił Izydor wejść w związki małżeńskie. Wiedział dobrze, jak to ważny i stanowczy krok w życiu człowieka: *ożenić się*, jak to szczęście doczesne, a nawet i wieczne, częstokroć od dobréj lub złéj żony zależy. Izydor mało zważał na to, na co ludzie zwykle w takim razie zważają i lekko cenił to, co ludzie zwykle wysoko cenią, tojest, urodę i bogactwo; bo wiedział, że ani jedno, ani drugie prawdziwie uszczęśliwić nie może, ale jedynie serce piękne i bogate w cnoty. I dlatego nie szukał Izydor przyszłéj dla siebie żony w karczmie na tańcach, muzykach, hulatykach, bo wiedział, że z takiéj dziewczyny, co do karczmy biega, co to w nocy na muzyki z domu się wykrada, co to przy tańcach i swawolach, jedną i drugą i trzecią kwatereczką wódki nie pogardzi, że z takiéj dziewczyny nie będzie nigdy ani dobra żona, ani dobra matka, ani dobra gospodyni. — Nie patrzał Izydor na urodę ciała, ale na urodę duszy. Piękność ciała bez piękności duszy, to jak kupa gruzów śniegiem przykryta; piękność minie, śnieg stopnieje, i cóż pozostanie? Nie patrzał Izydor na bogactwo, bo wiedział, że żona oszczędna, skrzętna, pracowita, największym jest skarbem i bogactwem; że kawałek chleba uczciwie nabyty lepiéj smakuje, niż kołacze i pełne misy mięsiwa, przy cudzéj krzywdzie. Ale uważał, jakie jéj jest zachowanie się względem rodziców, starszych i przełożonych? czy ma politowanie nad ubogim i t. d. Przekonawszy się o tem wszystkiem dobrze, uczynił Izydor wybór i nie zawiódł się.

Wprowadził Izydor w dom swój uczciwą żonę, a z nią i błogosławieństwo weszło w progi jego. Pod tą ubogą strzechą wiejskiéj chaty, panował pokój i szczęście.

Miał Izydor czas na wszystko, bo jak z każdego kawałeczka ziemi, tak też z każdéj chwili czasu korzystać umiał. Siew i żniwo o swojéj odbywało się porze, i dlatego zboże Izydora, czy to jeszcze na pniu, czy w snopach, czy w stodole, czy w śpichrzu, zawsze najlepsze i najpopłatniejsze było. Myślałby kto, że Izydor ze skąpstwa tak pracował, aby tylko dużo nazbierać pieniędzy. — Nie zmarnował on wpra-

wdzie ani jednego szelążka, ale nie szczędził nigdy tam, gdzie potrzeba było wydać. Na poratowanie sąsiadów, na wsparcie ubogich, na ozdoby kościoła, zawsze worek jego był otwarty.— Że Izydor na próżnowaniu czasu nie tracił, dlatego miał podostatkiem wolnych chwil do nabożeństwa. Codziennie z żoną i czeladką wysłuchał rannéj Mszy świętéj, zanim się jął do pracy, i w ciągu dnia o Bogu nie zapominał, a gdy w polu był, często, otarłszy pot z czoła, padał na kolana, składał kosę lub sierp, i złożywszy ręce, serce swoje wznosił do Boga, Jemu ofiarował całodzienną pracę, trudy i kłopoty. Izydor na całą wioskę ściągnął błogosławieństwo Boskie, i wszyscy o tém dobrze wiedzieli, i wszyscy go już za życia szanowali i kochali jak świętego. Do niego udawali się najstarsi gospodarze o poradę, do niego ubodzy o zapomogę, do niego smutni o pocieszenie, i każdy odchodził zadowolony, błogosławiąc Boga, bo on miał dla każdego radę, jałmużnę i pociechę. W niedzielę po nieszporach, otoczony liczném gronem sąsiadów, powracał do zagrody swojéj, i tam wszyscy usiadłszy przed domem na przyźbie, słuchali z pociechą i uszanowaniem Izydora mówiącego. Bo on nie mówił o bliźnich z ujmą sławy ich, ani żartował słowami nieprzyzwoitemi, ale mówił o Bogu i nauce Jego, jakby złemu zaradzić, jakby cnotę i uczciwość w całéj wiosce rozszerzać, a Izydorowa z kobietami o gospodarstwie i o wychowaniu dziatek rozprawiała. A gdy słońce zachodziło, Izydor poczęstowanych tém, co Bóg dał, gości, pożegnał, i każdy lepszy i rozumniejszy po takiéj rozmowie, wracał do domu swego.

Izydor brzydził się grzechami ludzkiemi, ale ludźmi nigdy nie pogardzał,— bo wiedział, że człowiek, dopóki żyje, nawrócić się może. I dlatego Izydor był zawsze w mówieniu oszczędny i bardzo ostrożny. Małe to żądełko osy, ale jak w ciało wejdzie, wielkie sprawia boleści; mała to cząsteczka ciała ten język, ale wielu nieszczęść i boleści staje się nieraz przyczyną. Złe słowo wyrzec, to bardzo łatwo, ale raz wypowiedziane słowo odwołać, to bardzo ciężko; a czasami i niepodobną jest rzeczą, jest ono bowiem jak ta ptaszyna, którą gdy raz z klatki wypuścisz, już więcej jéj nie ułowisz. Gdy porzeba było czasem połajać i ukarać kogo, czynił to Izydor bez obrazy Boga, i bez krzywdy bliźniego, poważnie, dobitnie i rozsądnie. Bo kogo miłością nie nawrócisz, tego i kijem podobno nie naprawisz. Przykład i nauka Izydora na całą wioskę najzbawienniejszy wpływ wywierała, bo jak mówił, tak téż i czynił. Miłosierny w mowie, miłosierny był w uczynku. Nigdy z domu jego żebrak nagi i głodny nie wyszedł, gdyż gospodarz pamiętał na te słowa: „*Cokolwiek jednemu z tych najmniejszych uczynicie, toście mnie uczynili*“. Jak miłe były jałmużny Izydora Bogu, to Bóg sam niejednym cudem okazał, i tak na przykład: Razu jednego w sobotę, na cześć Najświętszéj Maryi Panny, Izydor rozdał ubogim wszystkie zapasy, jakie miał w komórce; nadchodzi skądsiś zdaleka chora, zgrzybiała staruszka, żebrząc o jałmużnę. Z wieczerzy żadne jadło nie pozostało, i komorę dopiero nazajutrz zaopatrzyć miano. Izydor smutny, iż nie może jéj nic dać, ale ufający w miłosierdzie boskie, rzecze do żony: „Ej posłuchaj, zajrzyj tylko do komory, czy nie znajdziesz czego, aby dać téj biednéj kobiecie.“ Izydorowa, chociaż dobrze wiedziała, co się w komorze dzieje, jednak, jak zawsze, tak i teraz posłuszna rozkazom męża, idzie i z niemałem podziwieniem widzi wszystkie beczki napełnione mąką, kaszą i krupami, i sadłem rozmaitego rodzaju. Uważali i to ludzie, że gdy Izydor zboże rozdawał ubogim, to się takowe mnożyło w ręku jego. Gdy raz Izydor wór pełen zboża niósł do młyna, spostrzegł na drodze kilka ptasząt, które smutno świergocąc, napróżno po ziemi ziarn szukały. Zlitował się Izydor nad biednemi ptaszętami, pełną garścią sypał im po drodze ziarna, tak że nim doniósł do młyna, wór znacznie był nadebrany. Śmiał się z niego towarzysz, ale gdy mąka wyszła zpod pytla, to wór Izydora nadebrany więcéj wydał mąki, niż pełny towarzysza. Tak to Bóg nagradza miłosierdzie, nawet nierozumnym uczynione zwierzętom, jakże więc nagradzać będzie miłosierdzie ludziom uczynione!

I tak przeżył Izydor całe życie swoje w miłości i bojaźni Pana Boga. Chłopkiem żył i chłopkiem umarł; święte było życie jego, święta była śmierć jego. O! ileżto razy znękany pracą, siadał wieczorem pod cieniem rozłożystéj lipy, i patrząc z uczuciem tęsknoty na zachodzące słońce, mawiał do siebie: „Kiedyżto tak zajdzie i słońce życia mego, a dusza moja powróci do Stwórcy mego?“ Nie bał się

Izydor śmierci, i o niéj często myślał. Gdy przechodził koło smentarza wiejskiego, klękał i odmawiał pacierze za dusze wiernych zmarłych, bo wiedział dobrze, że wkrótce i dla niego tu mogiłę usypią; gdy słyszał dzwony pogrzebowe, szedł za trumną, bo wiedział, że i jego tož samo wkrótce czeka. Ale myśl o śmierci nie czyniła go smutnym, lecz przeciwnie słodką pociechą napełniała jego serce. Jeżeli smutek, lub jakakolwiek boleść dotknęła serce jego, mawiał w pokorze „Bóg dał, Bóg wziął, jak się Bogu podobało, tak się stało; niech będzie imie Pańskie pochwalone!" Gdy w ciężkiem znajdował się położeniu, zawsze sobie to pytanie zadawał: a gdyby mi po téj sprawie przyszło zaraz umierać, cobym uczynił? I odpowiedź na to zapytanie zawszekierowała działaniem jego. Myślał Izydor ciągle o obecności Boga, myślał o śmierci. W ostatniéj chorobie swojéj najostrzejsze bóle z największą znosił cierpliwością. Modlił się bez ustanku i opatrzony śś. Sakramentami, usnął Bogu snem sprawiedliwego, około roku Pańskiego 1130. Zaledwie ta nowina po wiosce rozeszła się, tłumy ludzi płaczących i rozpaczających zebrały się około mieszkania Izydora. Płacz i szlochanie już zdaleka słyszeć się dawało; każdy sąsiad wyliczał dobrodziejstwa, jakie od niego był odebrał. Każdy wysławiał cnoty jego tak rozliczne, i przez długi czas o niczém innem nie mówiono, tylko o Izydorze, i jak za życia, tak i po śmierci, wielu do Boga za jego przyczyną nawróciło się. Takto sprawiedliwy, a Boga miłujący i bojący się człowiek, nietylko że własną zbawi duszę, ale i niejednemu do osiągnienia nieba dopomoże.

Stanisław mularz.

Pan Zaulski, mieszkający w Warszawie, był jednym z tych przyjaciół ludzkości, dla których niesienie pomocy ubogim i ulgi nieszczęśliwym jest najżywszą rozkoszą. Lubił on często odwiedzać biednych swych, współbraci, zasilać ich częścią swoich dość znacznych funduszów, i szukał ubogich, szczególniéj takich, którzy, upadając pod ciężarem niedoli, wstydzą się żebrać. Raz, potrzebując mularza, poszedł sam do niego ze swoim synem Xawerym, który mu zwykle towarzyszył w tych miłosiernych odwiedzinach.

Stanisław mularz zajmował mały pokoik na 4tem piętrze, albo raczéj na poddaszu domu na Starem-mieście w Warszawie. Pan Zaulski, wszedłszy z synem po ciemnych i wąskich schodach pod strych, spostrzegł przez uchylone drzwi skromnego pokoiku, Stanisława siedzącego z żoną i trojgiem dzieci około stołu, i słuchającego wraz z niemi z pobożną uwagą, jak jeden z jego synów czytał historyą świętą. Aby im nie przeszkodzić, przystanął chwilkę i z rozrzewnieniem ujrzał, jak cała rodzina po przeczytaniu rozdziału uklękła, a ojciec odmówił głośno modlitwę, z wielką pobożnością. Wzruszony do łez tym tkliwym widokiem, pan Zaulski wszedł do izby i po przywitaniu domowników, przemówił do Stanisława: — „Mój przyjacielu! słyszałem twoję modlitwę pełną dziękczynienia Stwórcy wszechrzeczy, pełną poświęcenia Mu się bez granic; ta chwila rzewna nie wyjdzie mi nigdy z pamięci, ale powiedz mi, proszę cię, dobry człowiecze, jakim sposobem przyszedłeś do zachowania u siebie tak chwalebnego i pobożnego zwyczaju?"

Biedny mularz, zmięszany nieco tém nagłém zjawieniem się pana Zaulskiego, stał chwilę w milczeniu, lecz widząc szczere zajęcie się i rozrzewnienie jego, poprosił nieśmiało, aby wraz z synem raczył nieco spocząć w skromném jego mieszkaniu, to z chęcią zadosyć uczyni jego życzeniu.

Pan Zaulski usiadłszy na prostym lecz bardzo czystym stołku, spojrzał z zadowolnieniem po izbie, która, jakkolwiek była szczupłą, ale proste jéj sprzęty ustawione w właściwych miejscach były tak schludnie i często umywane, że zagadnął niebawem mularza.

—„Cieszy mnie, iż zastaję u was porządnie i tak czysto."

—„Wszystko to winienem zamiłowaniu porządku i gospodarności méj żony, — rzekł mularz, zresztą, każde z nas tu ma wytknięte swoje zajęcie: żona po zwykłych domowych zatrudnieniach zajmuje się szyciem bielizny, dzieci przygotowują się wieczorami z nauk na niedzielę; nie ma więc czasu robić nieporządku w izbie, dodał z uśmiechem Stanisław.

—„Przyjacielu!" zapytał znowu pan Z., przy twéj familii i skromnym zarobku twego rzemio-

sła, zapewne ci z trudnością przychodzi się utrzymać?“

—„Mój panie, przy méj usilnéj pracy i pomocy żony, oraz przy największéj oszczędności zapracowanego grosza, jeszcze dotąd biéda do nas nie zajrzała, a kawał razowego chleba, który wieczorem do domu przynoszę, staje nam za najlepsze jadło, bo go pożywamy z wesołą myślą i przy spokojném sumieniu.“

—„Nie znałem nigdy moich rodziców; pierwsze młodociane lata przepędziłem na wsi o mil 4. od Warszawy, u pewnego wieśniaka, który się mną opiekował. Poczciwy ten człowiek chciał mnie poprowadzić drogą cnoty i pobożności, a dbając o jakietakie moje ukształcenie, wysyłał mię do szkółki wiejskiéj; jednakże z żalem mi wyznać przychodzi, okazałem mu się niewdzięcznym, i nie odniosłem pożytku z jego troskliwości o dobro moje. Spędzałem bowiem dnie na próżniactwie, unikałem kościoła, o szkole i słyszeć nie chciałem, a trawiąc całe godziny na swawoli z zepsutemi chłopcami wiejskiemi, coraz więcéj się psułem: kłamałem bezczelnie, przysięgałem nadaremno z zuchwalstwem i czułem wstręt coraz większy do pracy i modlitwy, mimo ciągłych starań mego opiekuna. Wkrótce też wyrosłem na chłopaka najwięcéj zepsutego w całéj wsi, i o ile zapamiętam, wszyscy prawie mną pogardzali.

Pewnego dnia dobry starzec, mój opiekun, wziął mię na stronę, i rzekł:

„Czas już, abyś sam pracował na kawałek chleba; ja nie jestem tak zamożnym, abym cię mógł daléj żywić i odziewać. Otóż, niedawno temu, byłem w Warszawie i tam umówiłem się ze znajomym mi majstrem mularskim, który przyrzekł mi przyjąć cię do terminu. Wprzódy jednak, nim mię opuścisz, dodał, opowiém ci niektóre szczegóły twego życia, może ci się to kiedyś przyda. Moja żona, przed 19 laty, wychodząc raz bardzo rano z domu, znalazła przede drzwiami małe dziecko w koszyku, przytem bieliznę; tém niemowlęciem ty byłeś. Żona wziąwszy cię na ręce, przyniosła do izby. Odtąd wychowałeś się w mojéj chacie, pod moją opieką i przy pomocy dobroczynnych sąsiadów tutejszéj gromady. Pierwszém mém staraniem było wychować cię w pobożności i zamiłowaniu pracy, lecz dotąd nadzieje moje niewdzięcznie zawiodłeś. Teraz ci idącemu w świat daję błogosławieństwo moje i przestrogę, abyś życie swe poprawił; oby Bóg dokonał tego, czego twój opiekun uczynić nie mógł!“— Te słowa pożegnalne dotknęły mnie trochę, ale przybywszy do Warszawy, o któréj tyle różności słyszałem, zapomniałem o tém wkrótce.

—„Mój majster był to człowiek surowy, nie przebaczył mi nigdy złego, możesz więc pan sobie wystawić, ile stąd cierpiałem, przy moich nałogach i złych skłonnościach. I tu postępowałem po dawnemu, powtórzyło się to wszystko, od czego mnie odwodził zacny mój opiekun na wsi, tylko, że tu występki moje przy liczniejszych sposobnościach i więcéj zepsutych rówiennikach, stawały się coraz większemi. Praca w mém rzemiośle, uczęszczanie do kościoła, były to największe moje przykrości.

—„Raz, gdym naprawiał dach pewnego domu, przyszła mi myśl szalona, aby dla zabawki przejść na dach sąsiedni, i przestraszyć tam służących, uderzeniem kielnią o ramy okien ich pokoju i sprawieniem nagle hałasu. Wtem dachówki się usuwają, a ja pośliznąwszy się, spadam na ulicę, i byłbym się niezawodnie zabił, gdyby dom ten był tak wysoki, jak wiele innych w Warszawie. Długi czas zostawałem bez przytomności. Gdym przyszedł nieco do zmysłów, znalazłem się w szpitalu; mając ramię złamane i wiele innych ran na ciele, cierpiałem bardzo. Tam mając czas do rozmyślania, przypomniałem sobie ostatnią swawolę, a daléj idąc, inne zdarzenia, a wszędzie występki przebijały coraz większe, coraz gorsze. Przypomniałem sobie przestrogi i pobożne nauki mego opiekuna, wspomniałem o Bogu, i karze wiecznéj za występki. Dreszcz przerażenia przejął mnie, noc spędziłem bezsennie i zacząłem gorzko płakać, myśląc, że Bóg nie przebaczy takiemu, jak ja, grzesznikowi. „O Boże mój, zawołałem, przebacz mi.“

„Miłosierny i litościwy jest Pan,“— rzekł do mnie biedny tokarz, zajmujący łoże tuż obok mego, „Chrystus przyszedł na świat dla zbawienia grzeszników takich, którzy czują swoje zepsucie, i szczerze żałują za występki; i ja także kiedyś byłem występnym, lecz zwróciłem się na drogę prawą, a te słowa, które ci przytaczam, wyczytałem w pismie św., w nauce Zbawiciela, któréj uczył wszystkich, żyjąc tu na ziemi. Wierzaj mi, Bóg ci przebaczy, jeżeli życie swe odmienisz i porzucisz występki, których, wnosząc z twojéj rozpaczy, musiałeś dosyć popełnić.“

—„Poczciwy ten człowiek swemi przełożeniami, i słowami pisma świętego wlał pociechę w serce moje. Czując się nieco zdrowszym, prosiłem go, aby mnie mógł czytać nauczyć; chciałem bowiem i ja czerpać naukę i pociechę z świętéj księgi słowa Bożego; dotąd zaś przy mojém próżniactwie nie znałem jeszcze ani jednéj litery. Mój nowy przyjaciel przystał na to chętnie, zrazu szło mi trudno, lecz powoli mogłem już przesyllabizować żywoty SS Pańskich. Gdym przyszedł do zdrowia i opuścił szpital, zająłem się szczerze obowiązkami mego rzemiosła, a co niedziela chodziłem do swojego przyjaciela, i uczyłem się na pamięć po rozdziale z téj świętéj księgi, któréj czytanie i teraz tyle mi pociechy sprawia, i która mi się stała drogą pamiątką.

—„Po niejakim czasie dostrzeżono korzystną zmianę w mém postępowaniu; ulegałem czasami najgrawaniu się niedobrych rówienników moich, lecz szedłem już śmiało po raz obranéj przeze mnie drodze poprawy. Odtąd coraz więcéj znajdowałem przyjemności w pracy, obowiązki chrześcijanina wypełniałem z największą gorliwością, a z zaoszczędzonych pieniędzy kupiłem sobie Historyą Swiętą. Z rozkoszą niosłem ją do domu, i byłem szczęśliwy, gdym wolne chwile przepędzał na czerpaniu z niéj pocieszających nauk.

—„Córka mojego majstra czytała ją także niekiedy, i powoli tyle w tem znajdowała przyjemności, iż często wieczorami wspólnie przy jéj czytaniu przepędziliśmy chwil wiele. Ożywieni jednakowemi uczuciami, przywiązaliśmy się wzajemnie, a gdy jéj ojciec umarł, i kiedy mój termin nauki się ukończył, na mą prośbę dobra Agnieszka została moją żoną. Bóg nam pobłogosławił, dając nam tych troje dziatek, a ja mą wdzięczność codziennie Mu w modłach zasyłam za łaskę Jego, że mnie obdarzył tak cnotliwą i gospodarną żoną i dziatkami, które, wnosząc z dotychczasowych ich skłonności, może będą kiedyś cnotliwymi ludźmi i użytecznymi społeczeństwu.“

Pan Z. z wielką przyjemnością wysłuchał tego opowiadania mularza, a rozstając się z tymi poczciwymi ludźmi, przyrzekł odwiedzać czasami.

Wracając do domu, rzekł do swego synka: „Widzisz, mój Xawciu, jak często nieszczęścia na tym świecie są dla ludzi zbawienne: gdyby nie tak dotkliwy wypadek w młodości poczciwego mularza, to kto wie, czyby nie wyrosł na człowieka szkodliwego społeczeństwu.— Jeżeli więc człowiek miernego stanu tak żywo uczuł swą wdzięczność Bogu, za tę zbawienną przestrogę i za dobrodziejstwa Jego, to my, którzy więcéj mamy darów danych nam przez Niego, korzystajmy z téj łaski Opatrzności i stańmy się przykładem dla tych, których zaniedbane wychowanie łatwiéj usposabia do złego.

Ołów.

Jego użytki i szkodliwość.

—

Każdemu jest znany metal koloru szarego, miękki, dający się paznogciem rysować, pod młotkiem się płaszczący, łatwo topliwy, dający się z łatwością ciągnąć na blachy cieńsze od papieru, w które pakują tabakę. Metal ten używany jest od wielu rzemieślników: blacharzom służy do lutowania, złotnikom do czyszczenia srebra, a zdunom do polewy kafli i garnków. Z niego téż odlewają kule i szrót do broni palnéj, listwy do osadzania szyb szklanych, guziki, i rozmaite zabawki dziecinne. Ołów połączony w pewnéj ilości z innym metalem, zwanym Antymonem, daje materjał, służący do odlewania liter drukarskich. Oprócz tego, ołów w połączeniu z innemi ciałami, stanowi rozmaite farby malarskie, i połączenia chemiczne, z których wszystkie zażyte wewnątrz są szkodliwe zdrowiu a w większéj ilości, działają, jak gwałtowne trucizny. I tak blejwas, powszechnie używana farba biała, jest wyrabiana z ołowiu, nią także pokrywają papier glansowny, na bilety i do wyklejania pudełek, w jakie pakują cukierki z zagranicy przychodzące; dlatego lizanie tego papieru przez dzieci powinno być wzbronione, jako bardzo szkodliwe. Minia, farba czerwona, jest także wyrobem ołowianym; używano jéj dawniéj przy pieczeniu opłatków czerwonych, wzięta wewnątrz jest nader szkodliwą.

Ołów w wodzie się nie rozpuszcza, lecz wystawiony w powietrzu wilgotnem, pokrywa się białym proszkiem, który jest bardzo szkodliwy. Dlatego naczynia ołowiane, jakoto: kubki, łyżki, misy, jako szkodliwe, niepowinny być używane, naczynia zaś cynowe, do których konwisarze, dla taniości, zwykli do cyny, jako droższéj, dodawać ołowiu, powinny być starannie oczyszczane przed każdem ich użyciem.—Oleje i kwasy działają mocno na ołów. To, co kupujemy w ap-

tekach pod nazwiskiem wody gulardowéj, jest połączenie kwasu octowego z niedokwasem ołowiu, i użyte wewnątrz, działa bardzo szkodliwie. Często sami, przez grubą niewiadomość, przyrządzamy sobie pokarm mogący zaszkodzić. Zabitą szrótem zwierzynę, nalaną octem, dla skruszenia, trzymają dni kilka, przez co tworzy się połączenie ołowiane, do którego wchodzi ocet, sprawujące kolki i inne wewnętrzne cierpienia.

Nim przeto gospodynie, kucharze lub kucharki nalewać będziecie octem ubitego zająca, sarnę, lub ptastwo dzikie, starajcie; się naprzód szrót wydobyć, który łatwo znajdziecie te bowiem miejsca, gdzie zostały utkwione ziarnka szrótu, są sine i krwią nabiegłe.

Równie niedobry jest zwyczaj mycia butelek szrótem, pozostałe bowiem ziarnka pomiędzy wypukłością dna butelki a jéj ścianą wewnętrzną, po nalaniu wina, tworzą połączenie, sprawujące wielkie cierpienia. Nabardziéj jednak trujący środek z użycia ołowiu, niebezpieczny dla wielkiéj liczby ludzi, jest sposób używany przez mniéj zamożnych handlarzy win, do naprawienia tego napoju, skoro dostanie szczawiku (jak się wyrażają) czyli skwaśnieje. Ażeby uchronić się od straty, zwykle do beczki sypią kilka funtów glejty (Lithargirium). Wprawdzie ten proszek niszczy kwas wina, ale za to wprowadza do tego napoju straszny środek nabawienia wielu chorób, śmierć przyspieszających. Wino skwaśniałe może być zamienione na ocet winny i użyte; lub można zresztą kwas zniszczyć tłuczonemi skorupami z ostryg, lub rakowemi oczami. Wprawdzie i ten środek psuje dobroć i smak wina, ale nie jest tak szkodliwy i zabijający, jak ołów.

Kumoszki.

— Wiecie, co wam nowego powiem? — u Porębiny już i nowa salopa z futrem. — Salopa z futrem? zakrzyknęły chórem cztery majstrowe, siedząc obok siebie, na piwku u p. Zdzierkowskiego, dobrego znajomego, u którego codziennie kilka, jeżeli nie kilkanaście buteleczek bawarskiego wysączały.

— Oho! dopiero będzie nosa zadzierać Porębina. Moja pani Gadulska powiedzcie mi, skąd jéj się na to wszystko bierze, bo ja dalibóg nie rozumiem tego; ozwała się z zaiskrzonemi od zawiści oczyma pani Żmijewska. — Chyba, że złe dopomaga tym ludziom, odrzekły dwie drugie Kozikowa i Łykasińska, bo człowiek ma takoż 10 palcy u rąk, jak i ona, zabiega na wszystkie strony, a nic nie ma, tyle tylko, że się ledwo ten dzień opędzi jak można. Że tam czasem szklankę herbaty się wypije, albo kieliszeczek rumu, to przecież człowiek na to żyje, pracuje, żeby się czasem odrobiną wódki posilił, i z drugiemi poczęstował.

— Oto samoluby, mówiła dalej pani Łykasińska, właśnie onegdajszego dnia, idąc tu, spotkałam onę Jaśnie Wielmożną panią, i nie wiem, co mnie pokusiło, że ją prosiłam, żeby z nami poszła na kufelek; ale się zaraz wymówiła, że nie ma czasu, że idzie z mężem i dziećmi do kościoła, a potém jak powróci, to siadają wszyscy w czeladnéj izbie, oni, chłopaki, czeladź, i sługi i czytają jakąś tam Czytelnię Niedzielną.

— Hm! co to za dobry ton, przerwała p. Żmijewska — bo już nie wiedzą, co z pieniędzmi robić mają. Oni niedługo to już i samowar przed sobą zastawią — tylko patrzeć.

— Od takich ludzi, to jak od powietrza zachowaj Panie, — wtrącił usłużny Zdzierkowski, podniecając swoich gości, a tymczasem stawiając nowe butelki na stole — od nich to człowiek nic nie utarguje — ale co tam: taki zbiór, to djabła wór, — a przecieć stąd nic ze sobą nie zabiorą, od wszystkiego pójdą i zostawią.

— Hm! ale jak oni te dzieci prowadzą, wtrąciła Gadulska, starsza chodzi na pensyą o 3ch klassach.

Żmijewska. — A ciekawam, co jéj z téj pensyi przyjdzie, czy tam kupi tego rozumu na onéj pensyi, chyba tyle skorzysta, że się trzymać będzie sztywno, jak żeby kij połknęła, — tu zachychotały już dobrze podochocone sąsiadki, a na fantazyą kazawszy jeszcze dać ponczu, tak daléj mówiły.

Kozikowa. — A honorne, a ambitne, te ich dzieciaki, minę stroją, jak panicze jakie.

Gadulska. — A od naszych dzieci stronią.

Łykasińska. — A to dlatego, żeby się podlizać gospodarzowi.

Gadulska — A on ich téż pod niebiosa wysławia, że mu dachów nie tłuką kamieniami, tak jak nasze.

Żmijewska. — A juści chwali, bo wie, że pieniądze mają, to u nich i dzieci dobre, i chłopaki spokojne, i sługi porządne, — u nich wszystko dobrze, a na biednego człowieka, to wszyscy bij, zabij.

Podczas téj gawędki wpada usmolona, mizerna dziewczyna, aby dać znać swojéj pani, majstrowéj Łykasińskiéj, że ten sam pan, co był wczoraj, przyszedł, i chce obstalować kilkanaście par bucików dla chłopców, i czeka w warsztacie.—A gdzież majster? zapytała pani. – Musiał iść na piwo z panem Żmijewskim, bo oba poszli za bramę—odpowiada dziewczyna zerkając łakomo na przekąski zastawione na stole.— A czeladzie, a chłopaki gdzie?

— Czeladnik ubrał się i poszedł na miasto, a chłopaki w komórce w karty grają.

Zaklęła pani majstrowa, i z wymownym giestem popchnąwszy dziewczynę, kazała jéj wracać do domu i powiedzieć czekającemu panu, że *zaraz* przyjdzie; sama zaś powróciła do towarzyszek, nie mogąc się oderwać od gawędki, a bardziéj od ponętnego ponczyku.— Że też to nie mają czasu w dzień,— i tak człowiek w onéj jatce, jak pies na łańcuchu, a i wieczorem jeszcze mu spokojności nie dadzą.

—Ej! nie chodź kuma, wtrąciła Żmijewska, to przyjdzie jutro, kiedy mu potrzeba, co ma być, to i tak nie zginie— a my same pić nie będziemy.— Na tak przyjacielską uwagę kumoszek siadła na piękne za stołem p. Łykasińska, zapominając o domu, dzieciach, gospodarstwie i obstalunku.

Zajrzyjmy teraz do domu Porębów. Godzina 9ta już po kolacyi: oboje siedzą za stołem otoczeni dziećmi, które nie dziw, że się nie naprzykrzą, ani gospodarzowi, ani sąsiedztwu, kiedy zawsze są pod okiem rodziców.— Daléj nieco w kąciku siadła syta i wesoła czeladź, słuchając opowiadania zacnego majstra o dziwnych czasach, jak to dawniéj bywało, gdy opowiadanie to przerwaném zostało wejściem tego samego pana, co to nie mogąc się doczekać na obiecane *zaraz* p. Łykasińskiéj, musiał iść obstalować gdzieindziéj, ponieważ za kilka dni wyjeżdżał w drogę.—Mimo dość późnéj godziny, przyjęli go grzecznie, ułożyli się z umiarkowaniem, przyrzekając robotę jak najprędzéj.

Nazajutrz rano panie Żmijewska, Łykasińska, Gadulska, Kozikowa zasypiały jeszcze po naradzie, jak to drugim czart dopomaga, kiedy Porębina już zmówiwszy kilka pacierzy u Dominikanów, siedziała w sklepie, śpiewając *Kiedy ranne wstają zorze.* Pani Żmijewska dopiero we dwie godzin otwierając sklep swój, spostrzegła, że od Porębiny wyszło kilka osób z towarem— między innemi jakaś pani z Wołynia, za którą służący niósł duże pudełko napełnione świeżo zakupionemi trzewikami.

Splunęła Żmijewska, mrucząc pod nosem: chytrzy ludzie— z djabłem sprawę mają.

W kilka lat, Poręba w okolicy Starego miasta kupił domek porządny; córkę, ukształconą pannę wydał za zamożnego fabrykanta i znalazł w rzędzie obywateli miasta Warszawy miejsce, jakie należałoby się niejednemu rzemieślnikowi, gdyby swego warsztatu lepiéj pilnował.

Małżonkowie Żmijewscy, Gadulscy w końcu nie byli w stanie i sklepów opłacić. Zawsze narzekający na złe czasy, Kozik z żoną zbankrutowawszy, musieli się kontentować zarobkiem u żyda— ale za to szynkarz Zdzierkowski kupił sobie domek na Mostowéj ulicy.

Czy kupi drugi? doniosę wam późniéj.

Kukułka i Sikora.

B a j k a.

Dzień dobry ci sąsiadko! witam sikoreczko!
Jak widzę obfituje w dziatwę twe gniazdeczko.
I po co te starania!— na co takie trudy?
Porzuć plemię niewdzięczne, mówię bez obłudy,
Czyń, jak ja, jestem wolną, a sposób mam taki,
Iż w miejsce moje, inne zmuszam siedzieć ptaki.
Te mi dziatki wychowują,
Żywność dla nich upatrują;
I tak swobodnie
Żyję wygodnie.
Więc zrób, jak radzę;
Ptaszka sprowadzę,
Ten w miejsce twoje,
Przejmie twe znoje.
Precz mi, ty obrzydły wyrodku natury!
Z gniewem tak odrzeknie jéj sikora z góry,
Jeszcze cię dotąd żaden ptak nie naśladował,
A każden, oprócz ciebie, ród swój pielęgnował,
Darem Nieba potomstwo;— to tylko pojmuję,
Więc szczęście moje w szczęściu dzieci mych znajduję.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.—Warszawa d. 25 Kwietnia (7 Maja) 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański*